Rocznik XIII. Kraków 1-go kwietnia 1905. Nr. 4.

NOWY DZWONEK

wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 1-go.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

„Nowy Dzwonek“ kosztuje w prenumeracie:

w Austryi na **rok: 3** korony (**1** złr. **50** ct.), na **pół roku: 1** koronę **50** hal. (**75** ct.).
Razem zaś z ***Pielgrzymem*** kosztuje *Nowy Dzwonek* na **rok: 5** koron (**2** złr. **50** ct.) — na **pół roku 2** korony **50** hal. (**1** złr. **25** ct.).
Do **Ameryki** na **rok: 2** dolary. — Do **Niemiec** na **rok: 5** marek.

Adres do przesyłania prenumeraty:
Redakcya „Nowego Dzwonka“ w Krakowie, ul. Zielona L. 20.

Ważne doniesienie.

Do niniejszego numeru *Nowego Dzwonka* dołączamy pierwszy numer ***Pielgrzyma,*** i odtąd co miesiąc otrzymywać będą Szan. Czytelnicy **razem** z *Nowym Dzwonkiem* także i ***Pielgrzyma,*** rozumie się ci Czytelnicy, którzy zapłacili za *Nowy Dzwonek* na ten rok: **5** koron, lub na pół roku: **2** korony i **50** hal.

Odtąd też *Nowy Dzwonek* będzie pismem wyłącznie powieściowem i naukowem, ***Pielgrzym*** zaś podawać będzie głównie artykuły społeczne i polityczne oraz wiadomości z chwili bieżącej.

Jedno i drugie pismo można prenumerować razem, lub każde osobno. Kto chce, może prenumerować *Nowy Dzwonek* razem z ***Pielgrzymem,*** albo sam tylko *Nowy Dzwonek*, lub samego ***Pielgrzyma.***

Jak wyżej zaznaczyliśmy, dotychczasowi Czytelnicy, którzy zapłacili na ten rok: **5** koron lub na pół roku: **2** korony i **50** hal. otrzymywać będą **oba pisma** razem co miesiąc.

Wydawnictwo.

O potrzebie oświaty dla ludu.

·Ksiądz proboszcz Kiedrowski z Topólna, w powiecie świeckim w Prusach Zachodnich, wydał do swych parafian następującą piękną zachętę do korzystania z Czytelni Ludowych!

Droga Siostro, kochany Bracie!

Niezawodnie czytałeś albo słyszałeś w ostatnim czasie wiele ciekawych rzeczy o Japończykach. Nieprawdaż, nieraz wyrwały się tobie z ust słowa podziwu: „A, to mi dzielny naród!“ Tak, nietylko ty sam, ale cały świat podziwia dziś Japończyków. Ale powiedz, czyś się też zapytał, dlaczego naród japoński tak dzielny, tak rozumny, tak mądry? Czyś się zapytał, skąd on tej mądrości i dzielności nabył? Otóż, z nauki i z oświaty.

Patrz, przed trzydziestu laty mało lub nic się u nas nie wiedziało o Japończykach; bo wtedy był to naród ciemny, nieoświecony. A dziś? Nie znajdziesz Japończyka, którýby nie umiał biegle czytać i pisać. Każdy Japończyk uważa sobie to za surowy obowiązek, kształcić się i oświecać. Jemu byłoby wstyd powiedzieć: „Czegom się w szkole nauczył, to mi wystarczy“. Chociaż on pilnie i wytrwale pracuje. chociaż on mało ma czasu na wytchnienie, jednakże każdą wolną chwileczkę poświęca na to, aby z pism i książek nauczyć się rzeczy pożytecznych. Nie trunki palące, ale książki sobie kupuje, uważnie je czyta, spamięta sobie z nich, co mu w zarobku lub pracy pożytecznem być może. A jeżeli jest za ubogi, własnym groszem nie może zakupić książki, to wie, że w okolicy znajduje się wypożyczalnia książek — bo w Japonii niemal w każdej wiosce jest taka Czytelnią ludowa — tam wybiera sobie stosowną książkę i z niej się uczy.

Tak, dzielny to naród, bo oświecony — dzielny to naród, bo wie, jaki pożytek można osiągnąć z oświaty.

A ty Bracie i Siostro, czy korzystasz z oświaty, czy czytasz książki lub pisma?

„Ej, gdzie ja mam tyle czasu na czytanie książek“, odpowiadasz. „Człowiek musi się mozolić i biedolić, aby zapracować na kawałek chleba; jakże tu jeszcze myśleć

o książkach i nauce!“ Prawda, wiele to biedy między nami, a praca ciężka, o zarobek coraz trudniej. Ale niezawodnie czasem sumienie ci szeptało: „Próżnemi są twoje wymówki, bo ileżeś to czasu zmarnował poza domem w kompanijce, szukając w niej rozrywki i poczęstunku! Nasłuchałeś się tam plotek, a częstokroć żartów nieprzyzwoitych. I cóż z tego? Gniewy, kłótnie, powody do procesów, a w głowie ciężko i pusto“.

Dziś każdy z innych narodów postępuje w nauce, stara się uzyskać jak najwięcej oświaty. A tybyś chciał na zawsze pozostać upośledzonym i pogardzonym? Tybyś się nie miał abrać do nauki, nie pragnął nauczyć się pożytecznych, dla życia niezbędnych rzeczy z pism i książek?

„Co mi tam nauka“, odpowiadasz znowu! „To dla panów i bogaczy, ale nie dla mnie“. Takie rozumowanie, mój przyjacielu, to wielka niedorzeczność. Jeżeli masz kawałek ziemi, to przecież nie zostawisz jej odłogiem, ale pilnie uprawiać ją będziesz, abyś z niej jak największą miał korzyść. Bćg ci dał rozum tak samo, jak panom i bogaczom. A na co? Abyś go zostawił ugorem, tego rozumu nie uprawiał, nie kształcił? Rozum — to dar wielce kosztowny, za który będziesz musiał Bogu rachunek składać!

Daleko na północ leży kraj nad morzem, skalisty i górzysty. To Norwegia. Kraj to ubogi, bo ziemia mało, albo nic nie wydaje. Lud tam żyje po większej części z rybołostwa. Mimo to lud norwegski zadowolony i szczęśliwy, pracowity i trzeźwy. Nie zobaczysz tam próżniaka ani pijaka; bo takiemu niktby ręki nie podał.

I czemuż ten lud tam szczęśliwy? Bo jest oświecony. Każdy garnie się pilnie do książki, aby się oświecać i kształcić. Norwegczyk odznacza się oszczędnością, nie wydaje pieniędzy na fatałaszki, na trunki palące, ale wydatek skromny na dobre pisma i książki uważa nie za zbytek, lecz za rzecz dla siebie konieczną.

Chociaż tam kraj ubogi, ale lud jednakże dosyć zamożny; bo jest oświecony, więc wie, jak najpraktyczniej się w życiu urządzić. Tam, gdzie ciemnota panuje w narodzie, tam się dołącza bieda i nędza. Gdzie zaś praca i oświata idzie w parze, tam nie ubóstwo, ale wnet zamożność się pokaże.

I jeszcze posłuchaj! Między Północną Ameryką i Anglią na północnym krańcu morza Atlantyckiego leży wyspa Islandya, około 50 mil długa, a 35 mil szeroka. Ziemia to górzysta, niemal przez cały rok śniegiem pokryta. Roli tam nie można uprawiać, bo lato za krótki czas trwa. Z czegoż więc lud tam żyje? Z rybołostwa i z owiec, które w dolinach się pasają. Niktby z nas nie pragnął tam mieszkać, bo obawiałby się, że nie zdołałby się wyżywić. A jednak nie masz tam ubóstwa, bo lud to nie ciemny, ale światły. Za żadne bogactwa nie zmieniłby swej ojczyzny, bo czuje się tam szczęśliwy i zadowolony. Na zachodnim końcu wyspy leży miasteczko stołeczne Rejkjawik, liczące dwa tysiące mieszkańców. Tu znajduje się jedyna na całą wyspę biblioteka ludowa. Z tej Czytelni korzystają wszyscy mieszkańcy porozrzucani po kraju. Nie masz tam ani dobrych dróg ani kolei. A mimo to Islandczyk pnie się po urwiskach i górach kilka, nieraz kilkanaście dni, aby dostać się do Rejkjawik i stamtąd zabrać sobie książki pouczające. Jeżeli blisko mieszka, przychodzi częściej, jeżeli daleko 20—40 mil, przybywa przynajmniej raz do roku, zwraca uczciwie wszystkie zabrane książki i nowe sobie zabiera. Islandczyk więc nie lęka się ani trudów ani dalekiej podróży, nie żałuje ni czasu ni grosza, jeżeli może nabyć światła i wykształcenia; bo wie on doskonale, jaki pożytek można osiągnąć z oświaty i nauki.

A tybyś miał dla jakiejś tam niedogodności zaniechać nauki? Lub dla wrodzonego nam lenistwa na zawsze pozostać nieukiem, nieoświeconym? Sam niezawodnie przyznasz, że to niegodną byłoby rzeczą, nawet zbrodnią, gdybyś z własnej woli zakopał ten nieoceniony skarb, jakim jest rozum, darowany ci od Boga.

Z własnego doświadczenia także przekonałeś się nieraz, że dzisiaj oświata jest nam koniecznie potrzebna. Cóż więc uczynisz? Otóż, zabrać się z ochotą do czytania pożytecznych książek i pism, a gorliwie wspierać nasze Towarzystwa, które chcą podnieść oświatę w naszem społeczeństwie — to jest twoim i dla nas wszystkich obowiązkiem.

Lecz jakże mało, jak skąpo wspieraliśmy dotychczas takie Towarzystwa! Spojrzmy na Czechów, ten dzielny na-

ród, który pracą wytrwałą i miłością ojczyzny wywalczył sobie swobodę i poszanowanie u obcych! Jeden przykład nam wyjaśni, jak tam pojmują oświatę. Przed kilku laty odbyła się w Pradze, stolicy Czech, wystawa ludoznawcza.

Na tej wystawie na każdy dzień była wyznaczona osobna uroczystość, raz dla piekarzy, drugi raz dla krawców, dalej dla szewców, rzeźników, między innemi także dla dziewcząt służebnych. Przybyły one na wystawę w wielkim pochodzie z muzyką. A czyż one przyszły z próżnemi rękoma? Bynajmniej, lecz przyniosły w darze przeszło tysiąc marek dla „Macierzy szkolnej“. Nie dziw więc, że między ludem obecnym na wystawie powstał zapał nieopisany. Tłumy publiczności wybuchły nieskończonemi okrzykami: „Sława im“. A jak te biedne służące, tak wszystkie inne warstwy społeczeństwa czeskiego sobie postępowały, przybywając codziennie z znacznemi darami dla „Macierzy szkolnej“. Zaiste. Czesi, to dzielny naród, który wie, co znaczy oświata, i z niej skrzętnie i gorliwie korzysta!

Czyż nasze Siostry Polki poznają, jaką korzyść można osiągnąć z oświaty i nauki? Czyż zachęcać będą dzieci swoje, mężów i braci swoich do czytania pism i książek pożytecznych i do wspierania naszych Towarzystw, które mają na celu podniesienie oświaty między nami? Mam to przekonanie, że nasze Siostry Polki, które zawsze odznaczały się miłością Wiary świętej i języka naszego, z gorliwością to uczynią i pobudzą obojętnych i ospałych, ażeby korzystali jak najwięcej z Czytelni ludowych i według sił swoich je wspierali.

Jak widzicie Siostry i Bracia, od was to zależy, czy Zarząd Towarzystwa Czytelni będzie mógł skuteczniej przyczynić się podniesienia oświaty w naszem społeczeństwie.

Wspierajmy Towarzystwa oświacie służące ofiarami, każdy według sił swoich. Wszyscy garnijmy się do nauki, korzystajmy jak najczęściej z Czytelni założonych, poświęcajmy wolne chwile na czytanie pożytecznych książek, zachęcajmy się jeden drugiego do osiągnięcia oświaty, rodzice swoje dzieci, przyjaciel przyjaciela, sąsiad sąsiada, bo wiedzmyż, iż: „Oświata ludu dokona cudu!“

Miejmy nadzieję, że te piękne i gorące słowa tego czcigodnego kapłana-Polaka znajdą oddźwięk w sercach

ludu polskiego i w naszym także kraju! Oby tak się stało!

UKRZYŻOWANIE.

(Według opisu Katarzyny Emmerich).

Dzień piątkowy miał się już ku południowi, było to bowiem o trzy kwadranse na dwunastą, gdy Pan Jezus wszedł na górę Kalwaryjską, niosąc ciężki krzyż na swych ramionach. Tu upadł po raz ostatni, a gdy kaci go podnieśli i odwiązawszy sztukę krzyża, rzucili ją na ziemię, stanął Chrystus Pan taki smutny, taki blady, taki poszarpany i pokrwiawiony, że krajało się serce każdego, tylko nie żydów i katów zatwardziałych, bo ci w tej chwili gorsi byli od dzikich zwierząt i nic ich nie wzruszał bolesny widok ciepiącego Jezusa.

Potem poprowadzili kaci Jezusa o kilkadziesiąt kroków ku północnej stronie góry i wrzucili Go gwałtownie do jamy czy sadzawki. Stamtąd wydawał Jezus jęki tak żałosne, że się serce krajało.

Wtedy kaci rozpoczęli swoje przygotowania do ukrzyżowania. Na najwyższym punkcie skały Kalwaryjskiej wydrążyli trzy dziury, gdzie miały być ustawione trzy krzyże. Włożyli w nie po prawej i po lewej stronie krzyże łotrów bez sztuk poprzecznych, bo łotry mieli do tych sztuk przymocowane już ręce, a potem miano je przywiązać do głównej sztuki.

Położyli krzyż Chrystusa Pana na tem miejscu, na którem Go mieli przybijać, tak, żeby go łatwo potem można było z Nim podnieść i spuścić w dziurę dla niego przeznaczoną. Przymocowali do niego dwa ramiona, przybili podstawkę, czyli sztukę drzewa, na której się miały wspierać nogi Jego.

Porobili jeszcze inne przygotowania na krzyżu, aby się lepiej ciało Pana Jezusa utrzymywało, i aby cały ciężar jego nie wisiał na rękach, któreby się mogły rozedrzeć i wyrwać z gwoździ.

Najświętsza Marya Panna po bolesnem spotkaniu się ze swym Synem krzyż niosącym, odniesioną została przez przyjaciół bez przytomności, ale miłość i pragnienie gorące

zostawania przy swoim Synie wkrótce jej przywróciły nadprzyrodzonym sposobem siły.

Udała się tedy do domu Łazarza, gdzie się znajdowały inne niewiasty, i stamtąd w liczbie siedmnastu udały się w drogę krzyżową do Kalwaryi.

Matka Jezusowa wyszukiwała ślady stóp Chrystusa Pana, a towarzyszki Jej całowały ziemię, kędy przechodził Jezus z krzyżem. Potem cały ten poczet niewiast wszedł do domu Weroniki i tu z płaczem i rozrzewnieniem oglądały święte Oblicze Jezusa wyrażone na chuście Weroniki. Następnie wzięły naczynie z winem zmieszanem z ziołami i udały się razem wszystkie na górę Golgoty.

Tu czekało Najświętszą Pannę okropne widowisko. Czterech oprawców udało się na miejsce, gdzie był Jezus zamknięty i wywlokło Go stamtąd, okładając Go razami i zniewagami. Kaci, byli to ludzie małego wzrostu, krępi, postaci dzikiej z zwłosami najeżonymi, podobni do dzikich bestyj.

Kaci owi przyprowadziwszy Chrystusa Pana na miejsce, gdzie leżał krzyż, zdarli z Niego płaszcz, potem suknię wierzchnią z wełny białej. Gdy zaś nie mogli zdjąć sukienki nieszytej, którą Mu zrobiła Matka Jego, z przyczyny cierniowej korony zawadzającej na głowie, zdarli Mu ją gwałtownie z głowy i zaraz wszystkie się w niej rany otworzyły.

I stanął Syn Boży wobec zgromadzonego ludu cały drżący, okryty ranami krwawemi lub zastrupiałemi; plecy i grzbiet Jego były całe podarte aż do kości. Kaci posadzili Go na kamieniu, włożyli mu nazad koronę cierniową na głowę i podali Mu jeszcze w naczyniu żółć zmieszaną z octem.

Wkrótce potem rozciągnęli Go na krzyżu, a wyciągnąwszy Mu rękę prawą, przywiązali ją mocno do prawego ramienia krzyża. Potem jeden z katów ukląkł na piersiach Jego najświętszych, drugi Mu rękę prawą ostrzem przeszywał, a trzeci przysadziwszy do ciała długi i gruby gwóźdź, zanurzył go w rękę, bijąc weń młotem żelaznym.

Usta Zbawiciela wydawały słodkie i głośne jęki, a Krew Jego Najświętsza trysnęła i oblała ramiona katów. Gwoździe były bardzo długie trójkanci ste, a grube jak palec wielki, a końce ich zakrzywiały się nieco w tyle krzyża.

Przybiwszy kaci prawą rękę Zbawiciela, spostrzegli, że lewa ręka nie dochodziła do dziury w krzyżu wywierconej. Tedy przywiązawszy do lewej ręki powróz, z całą ją siłą ciągnęli do miejsca przeznaczonego dla gwoździa. To gwałtowne rąk rozciąganie okropne przyniosło Zbawicielowi cierpienia.

Uklękli znowu na Nim, skrępowawszy powrozem ramiona i zanurzyli drugi gwóźdź w ręce lewej. W pośród łoskotu młotów słychać było żałosne jęczenie Zbawiciela. Najświętsza Panna czuła wszystkie boleści Jezusa; blada była jak trup, nic nie mówiła, tylko łkania przerywane z ust się jej wydobywały, a faryzeusze stojący obok, miotali na Jezusa i Maryę swoje szyderstwa.

Teraz kaci przydali do krzyża kawał drzewa mającego służyć za podporę pod nogi, żeby cały ciężar ciała nie wisiał na rękach. Przez gwałtowne rąk wyciągnienie, całe ciało Zbawiciela ściągnęło się w górę, a kolana się skurczyły. Wyciągnęli je tedy kaci i mocno powrozami przywiązali do krzyża. Jednakże nogi nie dosięgały jeszcze podstawki, na której się miały opierać, a to doprowadzało oprawców do wielkiej złości.

„Nie chce się wyciągnąć“ — mówili — „otóż my Jemu pomożemy“, i przywiązawszy sznur do prawej nogi Jezusa, tak okrutnie przyciągali ją do podstawki, iż słychać było, jako piersi Jego rwały się trzeszczały, a Jezus w głos wołał: „O mój Boże! o Boże! o Boże!“ Było to straszliwe cierpienie dla Zbawiciela.

Potem przywiązali okrutni kaci lewą nogę do prawej i przeszyli je wprzód pewnym rodzajem świdra, żeby je następnie obie przebić gwoździem. To uczyniwszy zanurzyli długi gwóźdź w obie nogi na wylot i przybili je do krzyża. Słychać było przytem 36 uderzeń młota.

Jęczenia Jezusa, które boleść wyrywała mu z piersi, połączone były z ciągłą modliwą. Modlił się Zbawiciel ciągle podczas drogi krzyżowej, modlił się aż do śmierci. Dowódzca żołnierzy rzymskich zawiesił teraz w górze krzyża napis opiewający: „Jezus Nazareński, król żydowski“. A gdy niektórzy żołnierze śmiali się z tytułu króla żydowskiego, udali się faryzeusze z prośbą do Piłata, aby zechciał dać inny napis, ale Piłat się na to nie zgodził.

Już było blisko kwadrans po godzinie 12-tej w południe, gdy Jezus został ukrzyżowany. W chwili, kiedy krzyż podnoszono, w świątyni jerozolimskiej brzmiał odgłos trąb zwiastujący ofiarowanie baranka wielkanocnego.

Po ukrzyżowaniu Pana naszego, poczęli kaci krzyż podnosić i wpuścili go z ogromnem wstrząśnieniem do dziury w skale wykutej. Jezus wydał okrzyk bolesny. Rany się jego rozszerzyły, krew Jego obficiej spłynęła, a kości wywichnięte ze stawów uderzyły jedne o drugie.

Dla utwierdzenia w skale krzyża, kaci potrząsnęli nim jeszcze i zabili pięć klinów koło niego. Nie było nic okropniejszego, jak widzieć krzyż chwiejący się na chwilę w swej podstawie i ze drżeniem w ziemię wpadający wśród szyderczych wrzasków katów, faryzeuszów i przypatrującego się pospólstwa.

Kiedy krzyż z łoskotem wpadł w wydrążenie w skale, nastąpiła chwila uroczystego milczenia. Każdy zdawał się być przejęty uczuciem nowem, dotąd nieznanem. Marya, Matka Jezusa, ciągle płacząca, Jan św. i pobożne niewiasty towarzyszące Matce Bożej, powitały na tym nowym tronie Króla niebieskiego. Z ran Jezusa spływała na ziemię Krew święta, która miała użyźnić Nowy Raj w nowej, chrześcijańskiej Wierze.

Przez siedm minut Jezus zwiesiwszy głowę na piersi, zdawał się być umarłym; kaci w tym czasie poszli do dwóch łotrów i ukrzyżowawszy ich w nieco inny sposób, ustawili potem ich krzyże obok krzyża Zbawcy świata.

Tak się odbyło ukrzyżowanie Chrystusa Pana!

Krwawa głowa.

Powieść z wypadków galicyjskich w roku 1846.

I.

Rzadko z których narodów przeszedł tak krwawe koleje, jak naród polski. Każda jego dzielnica ma w swych dziejach krwią pisane karty, które świadczą dokładnie, że starano się Polaków całkowicie wytępić. Używano do tego najrozmaitszych środków, na których wspomnienie dreszcz każdego przejmuje.

W roku 1846 włóczyło się po Galicyi mnóstwo jakichś łazęgów, urlopowanych żołnierzy i innych zdegradowanych urzędników, którzy pomiędzy ludem zaczęli rozsiewać najzgubniejsze nauki, wmawiając w niego, że bieda u ludu jest skutkiem zbytniego bogactwa panów i księży. Całymi dniami siadywali ci urwisze po szynkowniach, częstowali ludzi wódką aż do zbytku, a odwodzili ich od pracy, namawiając, aby panów i księży wygnali, pozabijali, a majątkiem ich się podzielili.

Wciąż pijane pospólstwo chętnie tym dyabelskim podszeptom nadstawiało ucha; obiecanki, że wtenczas, kiedy nie będzie ni panów ni księży, oni pracować nie będą potrzebowali, a jednak opływać będą we wszelkie dostatki, tak wreszcie umysły motłochu wzburzyły, że lada chwili można się było spodziewać wybuchu.

I cóż rząd na to? nic — bo to było właśnie rządowi na rękę, bo w razie wybuchu, gdy najprzód pozwoli wykształconą część narodu wyniszczyć, łatwo mu będzie uskromnić się z częścią niewykształconą, to jest z ludem prostym.

Panowie początkowo mało sobie co z tego robili, ale widząc, że podszczuwanie i podbechtywanie coraz szersze przybiera rozmiary, kazali takich w kuse fraczki, lub wojskowe mundury poubieranych podszczuwaczy ze wsi powyganiać. Ale cóż? ci znowu nocami się wracali i swoje dalej broili.

Wybuch też nastąpił. Pijana tłuszcza, motłoch, rozbestwione pospólstwo, mając swych umundurowanych podbechtywaczy na czele, rzuciła się z widłami, cepami, kosami i co kto miał, na dwory. Palono, zabijano, pastwiono się okrutnie i nie trwało długo, a znaczna część Galicyi była jednem tylko pogorzeliskiem, jednym wielkim cmentarzem, na którym niepochowane walały się trupy.

Jednym z najszlachetniejszych mężów, którzy o dobro ludu swego dbali, był pewien pan, mieszkający w obwodzie tarnowskim. I jemu nie był tajemny ruch po wsiach okolicznych, ale był o siebie i o swych ludzi spokojny, bo jego z nimi postępowanie było mu rękojmią, że czartowskie nasienie rozrzucone po kraju,. w jego dobrach się nie przyjmie, gdyż przy probostwie szkółka krzewiła oświatę,

a czcigodny ksiądz proboszcz rzewnemi słowy zaszczepiał w lud moralność.

Pomiędzy wieśniakami najpoczciwszym i najwięcej znaczenia mającym był Stasiek, który lubo dopiero dwudziestokilkoletni młodzian, jednakże już na własną rękę prowadził swe gospodarstwo. W całej okolicy szukać i ze świecą tak dorodnego mołojca; przytem skromny, cichy, zaradny i pobożny. Nikt go w karczmie nie ujrzał, ani go też nikt choćby najmniej podchmielonego nie widział.

Za to rówiennik jego Tomek był hulaką co się zowie i więcej przebywał w karczmie, aniżeli przy pracy. Jak to zwykle bywa, człowiek niemoralny zazdrości cnoty uczciwemu. Stąd Tomek z duszy serca nienawidził Staśka, lubo ten mu nigdy w drogę nie zaszedł.

Mieszkał tam jeszcze stary Wach, dawniej zamożny gospodarz, ale przez pijaństwo, a stąd pochodzące lenistwo i zaniedbanie gospodarstwa tak podupadł, że z córką swą, ośmnastoletnią Kasią, ledwie mógł wyżyć z dnia na dzień. I tego nawet nie byłby dokazał, gdyby Kasia nie była zaradną. Całym ich majątkiem była chata pusta stodółka i chlewik. W tym chlewiku mieściła się krówka, jedyna pociecha Kasi i jedyne źródło sposobu utrzymania ojca i córki.

Kasia prowadziła swą krówkę po rowach i rozdołach na paszę, a z mleka wyrabiała masło i ser, które sprzedawała we dworze. Mój Boże jedyny! dwór, prawda nie potrzebował kupować od niej nabiału, bo sam miał dosyć, ale kupowano jedynie dlatego, aby dziewczęciu nieszczęśliwemu dać sposób uczciwego zarobkowania. Prócz tego chowała gęsi, kaczki i uprawiała starannie parę zagonków roli, a dochód z tego wystarczał na utrzymanie przynajmniej życia.

Śliczne to zresztą było dziewczę. Prawda, na jej twarzy nie dojrzano uśmiechu wesołego, nie widziano ją z czołem wypogodzonem, jakie zwykle mają ci, którzy bez kłopotu o przyszłość pędzą życie wśród uciech tego świata; jednakże w jej rysach malowało się coś takiego, co mimowoli zjednywało sobie serca wszystkich. Niejeden z mołojców rzucał na nią swe oczy, niejeden pilniej wpatrzył się w jej twarzyczkę, niejeden dłuższy czas marzył o niej, ale niestety! Kasia była ubogą; jej pracowitość, zaradność,

cnota, wszystko to malało wobec nędzy, którą zdradzały już jej wyszarzane, stare sukienki.

Raz nad wieczorem zjawił się Tomek. Kasia zdziwiona niezwykłemi odwiedzinami, wyszła, a tymczasem Tomek, przywitawszy się z Wachem, postawił pełną flaszkę na stół i zasiadł obok ucieszonego starego. Wach już od dawna nie miał sposobności uraczyć się gorzałką, stąd byłby Tomka nieoledwie uściskał. Wstrzymał się jednakże, gdyż nie wiedział dotąd, co to ma wszystko znaczyć. Tomek też zaraz nie wyjawił swego interesu, tylko najprzód zaczął Wacha częstować. Dopiero, kiedy ten już był w różowym humorze, kiedy mu Tomek wydawał się być najpoczciwszym z ludzi, dopiero powiedział mu, że chce jego Kasię za żonę, bo mu się podoba.

Wach oniemiał z radości. To mi zięć!... może co dzień częstowałby go wódką! Takiego zięcia nie dostałby pewno na całym świecie, wiec też bez namysłu dał mu zaraz swe słowo. Jednakże i Kasia musiała być przy tem, przeto ją stary zawołał.

— Kasiu — rzekł do wchodzącej — córko! widzisz, jakie masz szczęście... a oto Tomek chciałby się z tobą ożenić.

Kasia drgnęła, chciała coś mówić, ale bądź to czy jej głos zamarł w piersiach, czy też nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, dość, że się odwróciła i zaczęła ogień na kominku rozdmuchiwać.

— No! dziewucho! — wrzasnął Wach — słyszałaś? a przecież powiedz!... bo i zresztą nie potrzeba, wiem już, że chcesz i kwita.

Tomek się zerwał i rozczerwieniony gorzałką zbliżył się do Kasi.

— Kasiu, Kasiu! słyszałaś co ojciec mówił — rzekł — to tedy wyprawimy weselisko, aż ściany trzęść się będą. Wszakże chcesz?

Kasia zrobiła zwrot, jakby zmierzała ku drzwiom, ale ją Tomek zatrzymał.

— No, no! — zawołał — nie tak raptuśnie. Będziesz moją i na tem basta, a w niedzielę dam zaraz na zapowiedzi.

— Daj, daj! — odezwał się rozmarzony Wach — co tam będziesz zważał na dziewczynę!

Kasia wyrwała się Tomkowi i gromkim głosem zawołała:

— Precz odemnie, próżniaku! ani się waż nawet domyślać, abym ja kiedy poszła za ciebie. Dobierz sobie takiej, jakeś ty sam!

— Ha, ha, ha! — rozśmiał się Tomek — nie słyszałaś co ojciec powiedział?

— Słyszałam — odrzekła Kasia — ale też wiem, żeś ty wprzód ojca upoił. Ruszaj sobie odemnie i od ojca! Żeby więcej razy noga twoja tu nie postała!

Po tych słowach wyszła. Tomek zbladł. Tego było za wiele, bo chociaż spodziewał się kilku ogólników, na przykład! bo to wej!... bo!... ale przecież!... jednakże nie przypuszczał tak stanowczego kosza.

— Czekaj gadzino! — krzyknął na wychodzącą — wiem!... poznasz mnie!... niech cię jaśnisty!...

Napróżno chciał go Wach umitygować, naprózno mu tłumaczył, że wola Kasi nic nie znaczy. Tomek wykrzykiwał i pięścią walił po stole, aż Wach flaszkę uchwycił, żeby się nie obaliła i ulubiony napój się nie rozlał.

Rozgniewany Tomek niewiele już starego słuchał, ale z wrzaskiem i trzaskiem poszedł sobie do domu.

Wnet po wsi rozeszła się wieść, że Tomek dostał odkosza, że go Kasia nie chce. Ale wkrótce gruchnęła inna wieść, która ludziom ust nie pozamykała, jak się to mówi, ale owszem otworzyła jak szeroko, bo... Stasiek był u Wacha i chciał Kasię za żonę.

Stasiek? on? który mógłby małym palcem lewej ręki sięgnąć po najkraśniejszą mołodycę!... I on chce Kasię?... to coś dziwnego. Może to nawet nieprawda.

A jednak to prawda, bo przed kilku dniami Stasiek wszedł do Wacha. Kasia właśnie zatrudniona była robieniem masła, a Wach siedział na zydelku i rozmyśliwał, jakby tę upartą dziewczynę zmusić do ożenku z Tomkiem.

— Niech będzie pochwalony!... — rzekł wchodząc Stasiek.

— Na wieki wieków!... — odpowiedziano.

Stasiek zaraz przystąpił do rzeczy. W krótkich słowach wyraził, że Kasię kocha nadewszystko i widzi, że ona, chociaż uboga, więcej mu do domu wniesie, aniżeli jaka majętna roztrzepanica. Rzędna gospodyni w domu

znaczy więcej, aniżeli wóz pieniędzy z posagiem, bo więcej nierządna kobieta wyniesie fartuchem z komory, aniżeli chłop zwiezie furami do stodoły.

Wach struchlał na te słowa, a Kasia pobladła. Przez chwilę wszyscy troje stali niemi, nie wiedząc od czego zacząć i co mówić. Stasiek, to zięć nie lada — pomyślał sobie Wach — ale Tomkowi dał już słowo i zresztą Tomek, to... Kasia znowu miała inne myśli, bo nie mogła uwierzyć, aby Stasiek miał zwrócić właśnie na nią swe oczy.

Kiedy więc Wach milczał, a Stasiek oczekiwał odpowiedzi, Kasia przystąpiła bliżej do Staśka i rzekła czule:

— Staśku! znam cię i znają cię wszyscy. Z pomiędzy młodych z całej okolicy tyś najpoczciwszy i najdorodniejszy. Twoje oświadczyny, to łaska Boska dla mnie. Jednak pomnij, żem ja biedna dziewczyna, a ty masz dostatki; pomnij, że więcej nie mam nad mego starego ojca i jednej krówki...

— A siebie samej nic nie cenisz? — odrzekł na to Stasiek — czy ty nic nie znaczysz? — Ja wolę ciebie taką, jak teraz stoisz, aniżeli inne z koralami; ja bez ciebie żyć nie mogę, ja...

Kasia się zapłoniła, niby dojrzała wiśnia. Nie wiedziała co na to odpowiedzieć, spuściła oczy na swe bose nogi, a potem zapłakała.

Staśkowi zrobiło się rzewnie na sercu.

— Czegoż płaczesz Kasiu — wyjąkł — czyż ci krzywdę wyrządzam?

— O nie, nie — odparła szybko Kasia — ale... ale... zaczekaj jeszcze...

— Więc mi nie odmawiasz?

— Nie, ale zaczekaj.

— Dobrze, zgodzę się na to. A wy ojcze?

Wach się wzdrygnął.

— Kasia jest mą córką — wycedził przez zęby — to będzie wiedziała, czy ojca ma słuchać, czy nie. Już o tem potem, przyjdzie czas, przyjdzie i rada.

Stasiek tego nie rozumiał, ale Kasia rozumiała, że tu stary ma Tomka na myśli.

Na tem się skończyły oświadczyny Staśka. Wieść o tem biegała z ust do ust, a kiedy się Tomek dowie-

dział, już powiadano, że nastąpiły zaręczyny, że już dano na zapowiedzi i jak tam jeszcze tę nowinę upatrzyć umiano.

Tomek zgrzytnął kilka razy zębami, potem wzniósł pięść i strząsnąwszy nią w stronę zagrody Staśka, syknął:

— Czekaj!... zobaczymy się!...

II.

Łuna czerwona zarumieniła niebo nad całą Galicyą, zapach krwi ciepłej upajał i tak nie trzeźwe, pijane wódką, mordem i pożogą tłuszcze. Wrzała walka bratnia — jeżeli walką nazwać można napady band na dwory i obrona przeciw tym rozbójnikom. Dwory wszystkie zaopatrzyły się w broń i obrońców, bo biada nieprzygotowanym! Motłoch odurzony zapachem krwi, szedł śmiało na kule i szable i wcale go nie raziły celne strzały z okien i drzwi.

Wioska, w której mieszkała Kasia, zachowała się dotąd spokojnie, zniknęło tylko kilku najgorszych obyczajów ludzi; pomiędzy nimi i Tomek. Dwór jednakże miał się na ostrożności, nie tyle przed swymi ludźmi, ile przed włóczącemi się bandami z obcych okolic. Wezwano ekonomów, borowych i innych, którzy w razie napadu stawiliby opór. Stąd też dwór, ile że razem z podwórzem i dziedzińcem był murem opasany, tworzył małą fortecę, zdolną na niejakiś czas wstrzymać nieprzyjaciela.

Dzień był ponury, mglisty, Drobny deszczyk tedy i owędy zarosił, a wiatr gnał chmury z taką szybkością, jakby z niemi zdążał na harce piekielne. Nie słychać ni ryku bydła, ni głosu ptactwa, tylko wrony posiadały na drzewach, zwróciły dzióby do wiatru i krakaniem okazywały swe niezadowolenie z pluskotliwego powietrza.

Coraz więcej się szarzało, zbliżyła się noc, a z nią ukazało się zdala odewsi w rowach i w krzakach kilkanaście dziko wyglądających ludzi. Zapewne to wysłańcy nadciągającej tłuszczy.

Nikt we wsi o nich jeszcze nie wiedział, nawet we dworze wszyscy byli spokojni, bo już od kilku dni rozruchy w okolicy ucichły. Naturalnie broń była w pogotowiu, a brama zatarasowana. Stąd o napadnięciu i zaskoczeniu znienacka mowy być nie mogło, zwłaszcza, że rozhukana tłuszcza już zdala krzykiem i hałasem zwykle się zdradzała.

Tym razem zapewne byłby dwór bardzo pożałował, że zwolnił z czujności, gdyż rabusie byli tuż podewsią, a jeszcze we dworze nic o nich nie wiedziano. Przypadek tylko zrządził, że Kasia wracała już późno z płachtą pełną zielska na plecach i dojrzała chyłkiem podsuwających się morderców. Przelękła, rzuciła ciężar, a sama niby wiatr pobiegła znanemi sobie manowcami do wsi. Jak szalona dobiegła do bramy dworskiej i zaczęła walić w nią pięściami i nogami, oraz krzyczeć; ale czy to siły jej były za słabe, czy to głos zamarł w jej piersiach, we dworze nic nie słyszano. Biedna dziewczyna stała zrozpaczona, bezwładna wobec grożącego niebezpieczeństwa, nie wiedząca co i jak sobie poradzić.

Nagle jakaś myśl przebiegła jej przez płowę. Zwróciła się i w ciemności pobiegła do Staśka. Oknem z jego izby biła łuna, a zatem musi być w domu. Kiedy dobiegła do okna, ujrzała go siedzącego przy kominie i strużącego bijak do cepów. Chwilę oparła się o ścianę, bo nogi pod nią dygotały, a serce jej tak gwałtownie biło, jak gdyby jej piersi rozsadzić chciało.

Kiedy się cokolwiek uspokoiła, zaczęła wprzód nieśmiało, a potem coraz silniej rumotać do okna. Przelękły Stasiek rzucił drewno, zerwał się, przyskoczył do okna i zapytał:

— Kto tam?

— To ja... Kasia... — odpowiedział głos z za okna.

Stasiek słyszał głos z za okna, ale tak słabo, iż mu się wydawał szeptem, stąd jeszcze raz, ale silniej, zapytał się, kto tam jest i czego chce.

— Na Boga! Staśku — wykrzyknęła stłumionym głosem Kasia — na Boga! otwórz! To ja, Kasia, to ja!...

Teraz Stasiek poznał, kto to jest i jak szalony rzucił się do drzwi, odsunął rygle i w tej też chwili Kasia bezwładna runęła w jego objęcia. Stasiek wniósł ją do izby i posadził na ławie. Wnet przyszła do przytomności i jękła:

— Staśku... już są...

Stasiek domyślił się zaraz, o kim tu mowa.

— Widziałaś ich? — zapytał.

— Widziałam — odpowiedziała.

— Tylko kilku, ale zapewne ich więcej w tyle.



Złożenie ciała Chrystusa Pana do grobu.

— Acha! — rzekł smutnie Stasiek — wysłani na zwiady, czy czujność we dworze nie uśpiona?

— Staśku — rzekła znowu Kasia, a głos jej drżał — czy i ty się do nich przyłączysz?

Stasiek chwilę milczał.

— Nie! — odrzekł stanowczo — bo to nie wojna, ale zwykły rozbój. Do dworu zaś nie poszedłem, bo jedno, że oni sami się obronią, powtóre... o Kasiu! ja cię tak kocham, a nie mogę cię samą zostawić, bo Tomek zapewne nie popuści tej okazyi, aby się na tobie nie zemścić.

Kasia widocznie zadrżała.

— A jednak musisz dwór ratować! — rzekła ze łzami — ach! ci państwo byli tacy dobrzy! oni zawsze nas ratowali w nieszczęściu, a my mamy ich w nieszczęściu opuścić?

Stasiek opuścił głowę.

— Ale ty zostaniesz bez opieki — wyszeptał — a ja mam obowiązek opiekowania się tobą, chociaż mi jeszcze na pewno nie dałaś słowa, że będziesz moją...

Och! — zawołała — Staśku, będę twoją, ale ratuj dwór.

— Więc będziesz moją? — zawołał Stasiek namiętnie.

— Tak!... ratuj dwór!

— Niech się dzieje wola Boska! — westchnął Stasiek; — Kasiu, chodź do domu.

W parę minut później Stasiek uzbrojony w pistolet, topór i gruby kij sękaty, szedł z Kasią ku zagrodzie Wacha. Przez całą drogę nic nie mówili; Kasia szlochała, a Stasiek obmyślał plan, według którego miał postępować.

— Ot! — szepnął — patrz tam na lewo.

Kasia spojrzała. Gdzieś w dali na kilku miejscach widne były pożary, które na czarnym tle nieba, tem wyraźniej się rysowały.

— Niedługo i nasza wioska stanie w płomieniach — rzekł ponuro Stasiek — ty się jednak niczego nie obawiaj, wam rozbójnicy nic nie zrobią. A oto i dom twój!... bądź zdrowa, Kasiu!

— Niech cię Bóg ma w swej opiece! — odrzekła Kasia, poczem chwilę się niby wahała, czy odejść, czy

nie, ale naraz tak jej się serce ścisnęło, że mimowoli rzuciła się Staśkowi na szyję i głośno zaszlochała.

I Staśkowi zrobiło się miękko koło serca, objął ją rękoma, złożył pocałunek na jej czole, a potem ze słowami: bądź zdrowa! zniknął w ciemności nocy.

Stasiek biegł manowcami w stronę, z której rozbójnicy mieli nadciągnąć. Niepostrzeżony zbliżył się do nich tak blisko, że mógł mniej więcej rozeznać, że ich była straszna czerniawa. Znajdowali się w jakimś parowie. Jeszcze nie szli naprzód, tylko wydawali dzikie okrzyki, groźby, przekleństwa i do jakich tylko wykrzyków dzika, pijana tłuszcza może być zdolną. Nie chodziło jednak Staśkowi o ich wrzaski, lecz żeby można wybadać, kiedy chcą uderzyć.

I to mu się udało, gdyż dosłyszał wykrzyki, że posłańcy długo nie wracają. Zapewne też teraz wrócili, bo cała banda zaczęła iść naprzód przez pola i rowy, nie pytając o drogę, ani się nie formując w szeregi. Ktoś tylko głośno wpół z polska, wpół z niemiecka komenderował i napominał do spokoju. To jednak mało pomogło.

Stasiek puścił się lotem sokoła do wsi. Zdawało się, że obawa skrzydła mu do nóg przyczepiła; przeskakiwał rowy — krzewiny nie stawały mu na przeszkodzie — wreszcie zziajany, spocony przypadł do swego domu, wywalił drzwi, porwał głownię jeszcze gorejącą, wypadł znowu z izby i dach słomiany podpalił. Wicher wnet ogień rozdął i niedługo słup płomienia wzbił się w górę. Stasiek jak szalony biegł ku dworowi. I ludzie już na widok płomienia wybiegali, pytając, co to jest, co to znaczy.

— Tam... — wołał Stasiek — tam ciągną zbójcy... ogromna czerniawa... dom mój sam podpaliłem...

I biegł dalej.

We dworze na widok płomienia wszystko się pozrywało i sądząc, że to już nieprzyjaciel, brał się każdy do broni. Lecz, że napad ten tak był niespodzianym — sądzono bowiem, że już motłoch we wsi — potracili niejedni głowę. W tem u bramy dał się słyszeć ogromny łoskot, jakby kto walił siekierą. Natychmiast wewnątrz poskoczono w tę stronę ku obronie.

— Na miłość boską! baczność! niezliczona moc rabusiów już jest podewsią.

— Kto tam woła? — dał się słyszeć głos z wewnątrz.

— Ja! Stasiek! zapaliłem sam swój dom, aby was ostrzedz.

— Schroń się do nas! — zawołano z dziedzińca — ot, tu drabina.

Spuszczono drabinę, a Stasiek stanął nogą na szczeblu, gdy nagle dał się słyszeć krzyk:

— A tuś mi zdrajco!...

Równocześnie zaświszczały cepy w powietrzu i Stasiek, uderzony w głowę, jęknął tylko i legł bez duszy u stóp... Tomka.

Kilka strzałów rozległo się z murów, kilka osób przy ciele Staśka zajękło, ale też już we wsi rozlegały się piekielne wrzaski, wycia i ryki, niby rozjuszonych dzikich bestyi. Nie obawiano ich się we dworze jednakże tak bardzo, gdyż przez poświęcenie się Staśka mieli dość czasu do dostatecznego przygotowania się do obrony. Skoro tłum podstąpił pod mury, chmura kul powitała go z dziedzińca. Mnóstwo trupa padło: odskoczyli tedy cokolwiek, ale znowu z tem większą zapalczywością uderzyli powtórnie i powtórne rozległy się wystrzały — i tak teraz rozpoczęło się rąbanie bramy, wdzieranie się na mury, a z dziedzińca strzały i zgrzyt pałaszy o karki tych, którzy po drabinach chcieli wdostać się do wnętrza. Wioska prawie cała już stała w płomieniach — jasno, że możnaby i igłę znaleźć.

Tomek, który Staśka uśmiercił, porwał jego ciało i znikł z niem w ciemności jeszcze. Niedługo potem znowu się znalazł, ale wśród najgłówniejszej bitwy oddalił się z kilkoma, z którymi udał się do zagrody Wacha. Kasia klęczała i modliła się, a Wach siedział na ławie i blady jak trup, patrzał niemo przed siebie. Przed oknem słyszano śmiechy, wrzaski, a potem Tomek z kilkoma wpadł do izby.

— No! Wachu! ojcze! — wrzasnął cały krwią zbryzgany Tomek — słyszycie, jak hulamy? Jutro rano będziecie ze mną w pałacu!

Wach na to nic nie odpowiedział, gdyż zbójecka postać Tomka nawet jemu się nie podobała i wzbudzała

odrazę. Tomek na to nie zważał, tylko doskoczył do Kasi.

Kasia się zerwała.

— Nie uciekaj! — zawołał Tomek — bo ci to nic nie pomoże, jam teraz już lepszy od Staśka.

To mówiąc zaśmiał się złowieszczo i swemi skrwawionemi rękoma objął Kasię za szyję. Kasia zakrzyknęła przeraźliwie i zemdlona padła bez przytomności na ziemię.

Tymczasem walka wrzała zacięcie. Już zorza rumieniła wschód nieba, zwiastując po słotnym dniu piękną pogodę, a jeszcze bitwa nie została rozstrzygniętą. Jednakże we dworze zaczęto smutnieć coraz więcej, gdyż brama lada chwili upadnie pod ciosami siekier i toporów i mury nie wytrzymają. Jeśli się motłoch dostanie w środek dziedzińca, wtedy biada!

Brama istotnie nie wytrzymała — chmara złoczyńców z Tomkiem na czele, z okrzykiem szatańskim, wcisła się w rozwarte drzwi, ale celna salwa powaliła pierwszych napastników; i Tomek runął, ugodzony w piersi, druga salwa zwaliła znowu pierwsze szeregi. Jednakże to mało znaczy, bo rozwścieklona tłuszcza pcha się naprzód.

W tem nagle cisza!... po tej zaś ciszy zgiełk tak wielki, jakby kto potępieńców ze siedmiu piekieł na jedno zgromadził miejsce. Ale i ze dworu i z murów dały się słyszeć wyrzykniki: hurra! to nasi!

Cóż to?

Od strony Tarnowa, drogą tą samą, którą ciągnęło pospólstwo, gnało może ze stu jeźdźców i dopadłszy motłoch, zaczęli rąbać, jak kapustę. Na nic im się nie przydały cepy i widły, łby pod ciosami szabel pryskały jak główki kapusty! Nie trwało może ani godziny, a już w pomoc przybyli jeźdźcy wraz z pomocą ze dworu rozegnali tłum na wszystkie strony, tak, że wschodzące słońce już tylko oświeciło zwycięzców, jako też walających się rannych i trupów.

Z tryumfem wjechali zwycięzcy na dziedziniec. Z czułością dziedzic dziękował im za obronę. Dowiedział się, że to był oddział ochotników, który na własną rękę ściągał bandy rozbójnicze, kierując się zwykle za pożarami. I dziś na pierwszy słup płomienia puścili się zaraz w tę stronę.

Tak Stasiek podpaleniem swego domu uratował dwór cały, gdyż gdyby pomoc spóźniła się tylko o pół godziny, zapewneby rozbójnicy we dworze straszliwą rzeź sprawili.

Jeźdźcy pozostali tak długo we dworze, dopóki znowu nie zaopatrzono się dostatecznie w broń i nie ponaprawiano popsutych murów, oraz wywalonej bramy.

Wieś cała prawie jeszcze się dymiła; trupy walające się, zgliszcza pożaru — wszystko to straszliwy przedstawiało widok.

Kasia tego nie widziała, bo popadłszy w omdlenie, nie widziała nawet, kiedy Tomek odszedł. Gdy przyszła do przytomności, ujrzała się na ręku ojca, który siedząc, jak dziecko na ziemi, trzymał jej głowę na swem łonie.

Właśnie słońce wschodziło i czerwone swe, niby krwią rozlaną w nocy promienie, wciskało okienkiem do izby, którą całą na czerwono pomalowało. Kasia podniosła się, uklękła i złożyła ręce do modlitwy. Potem wstała i chwiejącym krokiem postąpiła ku oknu. Nagle zakrzyknęła przeraźliwie i padła na ziemię... bez duszy.

Zerwał się Wach, pobiegł do córki, ale oczy jego padły na przedmiot leżący na stole. Zakrzyknął również i runął trupem okok ciała swej córki.

Cóż tam było na stole?

Był to przedmiot, który Tomek w nocy tajemnie na stół położył, a który teraz słońce czerwonem światłem przerażająco oświecało: była to... skrwawiona głowa Staśka!...

Wielkotygodniowe zwyczaje u ludu.

Do Świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, jako najbardziej uroczystych w ciągu roku, przywiązanych jest w Polsce dużo zwyczajów.

Zwłaszcza lud nasz od dawien dawna, od setek lat przechowuje zwyczaje, z których niektóre mają myśl głębszą, szlachetną, opartą na religii chrześcijańskiej, a niektóre pochodzą jeszcze z czasów pogańskich i są czystymi zabobonami, choć ubranymi w szatę chrześcijańską.

Oto garść takich zwyczajów i wierzeń:

Po powrocie z kościoła w Wielki Czwartek w niektórych okolicach myją się włościanie, co ma zabezpieczać od chorób i wrzodów. Tą samą wodą oblewają także konie i krowy dla zmycia z nich chorób. Ci, którzy nie poszli do kościoła i zostali w domu, szczególnie pastuchy i wyrostki, gdy usłyszą dzwonienie na „Gloria“, potrząsają w sadach drzewami, aby w tym roku obrodziły obficie. Wieczorem gdzieniegdzie zachowuje się zwyczaj spożywania „wieczerzy Pańskiej“, która składa się z tych samych postnych potraw, co wigilijna przed Bożem Narodzeniem.

Po tej wieczerzy suszą włościanie aż do Wielkiej Niedzieli. Utrzymuje się wiara, że ktoby spożywszy wieczerzę w Wielki Czwartek, wstrzymał się od jedzenia przez dwa następne dni, a potem co roku przez Wielki Piątek i Sobotę zachowywał ścisły post, ten na trzy dni przed swoją śmiercią będzie o niej wiedział.

W Wielki Czwartek wieczorem w niektórych wsiach biorą pasterze słomę, jałowiec albo beczułki ze smołą i idą z niemi na pagórek, gdzie je zapalają, biegają koło nich, a puszczając z góry płonące beczułki, wołają: „Judasie, nie daj się, weź kija, obraź się“.

Zachowuje się też w pamięci ludu następujący zwyczaj wielkoczwartkowy. Udział w nim bierze kilkunastu lub więcej chłopców, którzy uzbrajają się w obroż drewnianą, tworząc jakoby oddział wojska. Zrobiwszy sobie Judasza ze słomy i ubrawszy go w czarne, podarte szaty, dają mu do ręki worek z tłuczonem szkłem i postępując w ordynku wojskowym pod komendą najstarszego chłopca, niosą tego słomianego Judasza do kościoła na „ciemną jutrznię“.

Podczas nabożeństwa trzymają Judasza na chórze, poruszając raz po raz jego brzęcącą, pełną szkła kaletą. Po skończonej jutrzni spuszczają Judasza z chóru na dół, gdzie spada wprost do przygotowanych na ten cel taczek, na których wywożą go z kościoła, poczem na cmentarzu rozpoczynają igrzysko. Wśród wrzawy, przezwisk i śmiechów „wojsko“ okłada słomianego Judasza drewnianemi pałkami i kijami ku uciesze zgromadzonego ludu. Potem oddział maszeruje z resztkami Judasza na plebanię i do

dworu, gdzie powtarzają się znów te same sceny. Zakończeniem tego zwyczaju bywa gromadna wyprawa z owym Judaszem do karczmy, przezywanie i naigrawanie się z żydów i pijatyka za pieniądze, któremi się ci od napaści wykupują. W końcu topi się Judasza w rzece.

W Wielki Piątek, podobnie jak w dzień poprzedni, w pewnych okolicach już przed świtem lud się myje i kąpie dla zdrowia, oraz na pamiątkę, że tego dnia Pan Jezus udając się Górę Oliwną przechodził przez Cedron. Kto tego dnia wstanie najwcześniej, rózgą bije leżących jeszcze w łóżkach, mówiąc: „Pamiętaj, że masz Boże rany“. Przed wschodem gdzieniegdzie okadzają także bydło święconemi ziołami, aby w ciągu roku nie chorowało.

Przez cały tydzień gospodynie zbierają śmietankę, z której w Wielki Piątek robią masło do święcenia. Masła tego nie solą, lecz przechowują je jako lekarstwo dla domowników i bydła, szczególniej skuteczne na rany. Po oświęceniu dodają do niego słoniny i żółtka święconego, przetapiają to wszystko i zlewają do garnka. Używają tej maści, gdy krowy chorują na wymiona, lub gdy je „urzeknie złe oko“.

Wczas rano niektóre gospodynie starannie zamiatają cały dom, izbę sień i komorę i wynoszą śmieci daleko, aby z niemi wszelkie robactwo chatę opuściło. Gospodarze zaś przed śniadaniem z gałązek wierzbowych, okrytych baziami, robią krzyżyki, zanoszą w pole i zatknąwszy po krzyżyku na każdym kawałku swego pola, obsianego zbożem, odmawiają pięć pacierzy do pięciu ran Chrystusowych. Jeżeli taki krzyżyk się przyjmie i wypuści listki, to znaczy, że temu, co go zatknął, sądzone długie życie, albo też ma to być dowodem, że człowiek ten posiada łaskę Bożą. Inne krzyżyki gospodarze lub parobcy zatykają nad drzwiami do sieni, do stajni, a poodrywane z nich bazie rzucają do jarego zboża, przeznaczonego do zasiewu.

Jeżeli Wielki Piątek i Wielka Niedziela są pogodne, to lud wróży z tego mokry rok, a jeśli w te dni deszcz pada, rok ma być suchy. W pewnych okolicach do stanu pogody w Wielki Piątek przywiązane są następujące przysłowia: jeśli w Wielki Piątek mróz — będzie siana wóz;

jeśli rosa, będzie siana do nosa". — Jeśli w Wielki Piątek śnieg, deszcz, albo rosa, wtenczas nasiej chłopie dużo prosa".

BIJĄ DZWONY...

Biją dzwony, a rodośnie
Serce w nich kołata.
One dzwonią: „Alleluja!
Zmartwychwstał Pan świata!"

One dzwonią: „Chodź człowiecze
Do świątyni Pana,
Uchyl czoła — a wznieś serce,
Padłszy na kolana.

Złóż twe troski, złóż swe żale
U Bożego tronu,
Nie zagłuszaj jękiem serca
Radosnego dzwonu.

Nie zasępiaj smutkiem duszy
Dnia tak wesołego,
I otuchę i nadzieję
Wpuść do serca swego.

Bo czyż nie wiesz, że na ziemi
Zawsze tak się plecie:
Płacz ze śmiechem, ból z weselem
I z cierniami kwiecie.

Że twój pobyt na tym świecie
Przelotny i krótki,
Że nietrwałe ani wieczne
Radości i smutki.

Więc się nie martw, dobry człecze
Dzwon dzisiaj wydzwania,
Bo nadejdzie i dla biednych
Chwila zmartwychwstania!...

J. W.

Stryjowie cara Mikołaja II-go i jego źli doradcy.



Wielki książę **Włodzimierz**, komendant wojsk w Petersburgu, który 22 stycznia b. r. kazał żołnierzom mordować bezbronnych rosyjskich robotników.



Wielki książę **Sergiusz, zabity** bombą wybuchającą, w Moskwie dnia 17-go lutego b. r. (Było to opisane w 3-cim numerze *Nowego Dzwonka*).

Wiara w zmartwychwstanie!

Naucza nas Kościół święty, że jako Chrystus Pan powstał trzeciego dnia z grobu, czyli zmartwychwstał, tak i my kiedyś zmartwychwstaniemy, choćbyśmy niezliczone wieki leżeli w grobie.

Już w Starym Testamencie Bóg objawił prorokowi Ezechielowi obraz zmartwychwstania ciał, który nam prorok tak opisuje: „Stała się nademną ręka Pańska i wyprowadził mię w duchu Pańskim, i postawił mię pośród pola które było pełne kości, a było ich bardzo wiele po polu, i bardzo suchych. I rzekł do mnie: Synu człowieczy, czy mniemasz, że żyć będą te kości? I rzekłem: Panie Boże — Ty wiesz“.

I powiada dalej prorok Ezechiel, że Pan Bóg kazał mu prorokować o tych kościach i rzeknąć im, aby się oblokły w skórę i kości. I gdy prorok spełnił rozkaz Pański, wszedł duch w owe kości, stało się poruszenie i przystą-

piły kości do kości, przyoblekły się w ciało i w skórę i stanęły na nogach swoich, jakby wojsko bardzo wielkie.

Wierzyli tedy żydzi w Starym Zakonie w ciał zmartwychwstanie, i ta wiara istniała także u chrześcijan od najdawniejszych czasów. Święty Hieronim pisze: Czy jem, czy piję, czy śpię, czy czuwam, zawsze i wszędzie zdaje mi się, że słyszę straszliwie grzmiący głos trąby, na dźwięk której umarli zmartwychwstaną, aby się stawić na sąd ostateczny".

Święty Cyryll zaś tak nauczał: „Zboże albo ziarno inne zasiane, obumiera i gnije i nie może wtedy służyć za pokarm. Ale zgnilizna zazielenia się później i zagrzebane ziarnko podnosi się w górę świeżo i wesoło. Jeżeli więc rzeczy, które dla nas stworzone były, zaraz po obumarciu znowu ożywiają — czyliż my po śmierci naszej, zmartwychwstać znowu nie mamy?" (Św. Cyryll. Katech. 18).

Nawet poganie światlejsi wierzyli w ciał zmartwychwstanie. Rzymski mędrzec Seneka pisze w swoich dziełach tak: „Wszystko wprawdzie ulega zniszczeniu, ale nie ginie do ostatka. Śmierć nawet, której tak bardzo lękają się ludzie, zrywa życie, ale nie na zawsze je wydziera. Przyjdzie dzień, gdy znowu światło ujrzymy".

Z GOSPODARSTWA.

Zmielone kości, jako dodatek do paszy dla kur.

W nowym czasie rozpowszechnia się przeświadczenie, iż kości zmielone na proszek są koniecznym dodatkiem do paszy dla kur, ponieważ wpływają nader korzystnie na zdrowie zwierząt i podniecają niesność. To też niejeden hodowca spieszył zaopatrzyć się w młynek do mielenia kości na wzór hodowców amerykańskich i angielskich (w tych krajach jest hodowla drobiu bardzo rozwinięta).

Pewien wybitny amerykański hodowca przeprowadził ścisłe doświadczenia co do skuteczności mielonych kości jako dodatku do paszy dla kur. Stadko kur, złożone ze sztuk o jednakowem wieku, podzielił na dwie gromady po 10 sztuk. Z dodawaniem mielonych kości rozpoczął 1 kwie-

tnia w ten sposób, że kury jednej gromady otrzymały co drugi dzień, czasem dzień po dniu, po uncyi miału z kości, a druga gromada nie otrzymywała wcale miału z kości. Po czterech tygodniach, to jest 1 maja osiągnął ów hodowca taki skutek: Gromada pierwsza wydała 260 jaj; druga gromada wydała 216 jaj.

Mielone kości dodawać się powinno w późnej jesieni, w zimie oraz wcześnie na wiosnę. Dla kurcząt są one wręcz nieodzownemi, gdyż wpływają na wzrost zdumiewająco. Naturalnie, że i przytem trzeba zachować pewną miarę. Dawkę dzienną podzielić na kilka razy, i najlepiej domieszywać do innej karmy.

Wyżej przytoczony hodowca jest przekonanym, iż nadzwyczajne swe powodzenie w hodowli, ma do zawdzięczenia — stałemu dodawaniu miału z kości. Wogóle odróżnia się drób żywiony także kośćmi widocznie od takiego, który nie otrzymuje dodatku w postaci miału z kości. Pierwszy bywa żwawym, pióra posiadają pewien połysk, tak, że na pierwszy rzut oka zdradza zdrowie i znaczną wydajność.

Jak kret przepowiada pogodę?

Odawna spostrzeżono, że stan pogody wpływa na zachowanie się kretów, co zresztą nikogo dziwić nie powinno, gdyż i inne zwierzęta, ptaki, a nawet człowiek w pewnych razach może naprzód odczuć zmianę pogody. U kreta jednakowoż, jak donosi pewien badacz, ma być ta zdolność w wysokim stopniu rozwiniętą i stale się objawia w rozmaitem jego zachowaniu się.

Kret przepowiadać może deszcz, burzę, a nawet suszę podług reguły następującej: 1) Gdy wyrzuca długie podwierzchowe korytarze, czyli gdy tuż pod powierzchnią idzie, to oznacza wiatr; 2) gdy przytem wyrzuca małe kupki ziemi, oznacza to wiatr i deszcz; 3) gdy robi wiele dużych kretowisk, to będzie długotrwały albo też obfity ulewny deszcz; 4) gdy w starych kretówkach na nowo ziemię wyrzuca, przepowiada burzę; 5) gdy przytem zostawia dziury otwarte, ma być burza z grzmotami; 6) przed nadzwyczajnemi ulewami (oberwaniem chmur i t. p.) łazi pod samą powierzchnią darni, jakby mu w ziemi

było niewygodnie, natomiast 7) przed długotrwałą posuchą chowa się do głębszych warstw ziemi.

Czy wpływa na to stan wilgoci w powietrzu i stan elektryczności w ziemi, że krety na kilkadziesiąt godzin naprzód odczuwają zmiany pogody, trudno zbadać — ale wiadomość o tych spostrzeżeniach może niejednego z rolników zaciekawi, a może się i przydać.

Przy tej sposobności przestrzegamy przed zabijaniem kretów, ponieważ jest to zwierzątko bardzo pożyteczne. Szkody, jakie ogrodom wyrządza, nikną zupełnie wobec korzyści, jakie kret daje, niszcząc wielkie ilości owadów, jak pędraków, podjadków i wiele innych szkodników. Gdyby kret rzeczywiście miał wyrządzać szkody przez wyrzucanie ziemi, to jest środek na wypłoszenie go z ogrodu. Otóż włożyć należy w dziury, w których kret się mieścił, łaty namoczone naftą. Zapachu nafty nie znosi i niebawem opuści ogród.

RÓŻNE RADY POŻYTECZNE.

Przewietrzanie mieszkania. W każdem mieszkaniu psuje się powietrze, zwłaszcza, gdy w niej przebywa kilka osób, a jeszcze bardziej, gdy razem z ludzmi przebywają w izbie konie, bydło lub świnie, jak się to nieraz po wsiach zdarza.

W takich chatach ludzie są bladzi, często cierpią na osłabienie, ból i zawrót głowy. Nieczyste powietrze nie odświeża krwi, lecz ją zatruwa i sprowadza na ludzi różne dolegliwości.

W chacie, w której dla braku komina, dym rozchodzi się po izbie, mają mieszkańcy zawsze podrażnione oczy i płuca, a małe dzieci każdą słabość ciężko przebywają i częściej umierają, niż w izbie, gdzie powietrze jest czyste i gdzie jest komin.

Prochy i śmieci na sucho zamiatane także zanieczyszczają powietrze. Przy kwaszeniu kapusty wydobywa się z niej gaz szkodliwy dla zdrowia ludzkiego.

Aby przeto mieć w izbie czyste powietrze, należy zimą i latem przewietrzać izbę przez otwieranie drzwi

i okien; bydło, konie i nierogaciznę usunąć z izby do stajni, a zamiatać izby dopiero po dobrem skropieniu podłogi, nie kwasić kapusty w izbie, lecz w sieni albo w komorze.

Znakomitą białość u bielizny osiąga się w sposób bardzo prosty: Robi się mieszaninę z dwóch części mocnego spirytusu i jednej części czystego, jasnego olejku terpentynowego i daje się tej mieszaniny dwie łyżki stołowe na 50 litrów do wody farbkowej. Przez to bieli się bielizna podczas suszenia, a niema najmniejszej obawy o szkodę, mieszanina ta bowiem nie psuje włókien tkaniny. Nie użyta część mieszaniny może być przechowaną na później i stanowi w tym stanie wyborny środek do wywabiania plam tłuszczowych i żywicznych.

Popękanie skóry na rękach dosyć często zdarzyć się może, zwłaszcza jesienią i zimą, gdy powietrze jest zimne. Popękania są często głobokie aż do krwi i są zwykle nader bolesne, a co gorsza, to że nie chcą się szybko goić. Mycie rąk, gdy są popękane, sprawia ostry ból, tak, że osoby z popękanemi rękoma często wcale rąk nie myją, wskutek czego na rękach osadza się brud, który dotarłszy do ran głębszych, łatwo wywołać może ropienie.

Popękane ręce należy tedy starannie leczyć, i to w sposób następujący: Oczyścić należy dobrze ręce popękane z brudu. Następnie wziąć litr czystej wody, wlać do niej pełną łyżkę stołową miodu i mieszać, żeby się miód we wodzie dobrze rozpłynął. Tą wodą z miodem nacierać należy ręce popękane trzy razy na dzień, i to nacierać każdą razą tak długo, aż woda miodowa prawie wyschnie na rękach. Po każdem takiem nacieraniu należy ręce owinąć w miękkie czyste płatki płócienne lub wełniane.

Jeżeli chcemy gojenie przyspieszyć, można do wody miodowej dolać łyżkę stołową gliceryny i zmieszać. — Naturalnie, że podczas takiego leczenia należy ręce ile możności oszczędzać i chronić od silnych mrozów lub maczania w inych płynach. Jeżeli koniecznie trzeba ręce do wody zamaczać, to wtedy też należy je zaraz obetrzeć i osuszyć.

Kawa żołędziowa jest nader skuteczną w szkrofułach, suchotach, wycieńczeniu, w częstem rozwolnieniu i t. d.

Wybiera się żołądź dojrzałą i nierobaczliwą, obiera się z łupin, kraje się ziarnka na cztery części, suszy się na piecu i pali się na kawę, ale tak, aby nie przepalić, żeby się łatwo trzeć i tłuc dała.

Dwie łyżki spalonych i zmielonych żołędzi zmieszać z pół łyżką zwykłej palonej kawy i gotować jak zwykle w dwóch szklankach wody. Kawę tę pije się z mlekiem lub bez mleka i z cukrem według smaku.

Z pola wojny.



Żołnierze rosyjscy z pułków syberyjskich.

Figle i żarty.

Skromność. Sędzia: Spełniliście kradzież z wielką bezczelnością.

Oskarżony: Proszę pana sędziego, w tem rzemiośle to się skromnością do niczego nie dochodzi.

Przy śledztwie. Człowieku! Ciągle kradniesz! spojrzyj w swoją przeszłość, coś już nabroił: Ujrzysz swoje czyny...

— Kiedy panie sędzio, ja mam jedno oko, więc dobrze niedowidzę.

Szczęście. Przy pewnej uroczystości zabawili się mieszczanie w pobliskim lasku, gdzie szynkarz ustawił sobie stół z przekąskami i trunkami. Gdy już sobie goście podchmielili, rozpoczęła się wcale szynkowna bijatyka, poczem rozbijano krzesła, kufle i butelki.

Szynkarz nie posiadał się z gniewu:

— Szczęście wasze — zawołał — że tu nie ma drzwi, bobym was wszystkich na dwór powyrzucał!

Pewna kobieta prowadziła raz osła, a widząc to student rzekł:

— Dzień dobry pani ośla-matko!

Kobieta zaś bez namysłu odpowiedziała:

— Dzień dobry, dzień dobry, mój synu!

Uczciwy lokaj. — Nie, nie mogę dłużej patrzeć na to, jak kucharka i pokojówka okradają naszych państwa. Od jutra i ja także zacznę na swoją rękę.